Lester del Rey

Darujcie nam nasze długi

(Forgive Us Our Debts)

Future Science Fiction Stories, May 1952
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Zanim jeszcze sen zniknął mu z oczu, Fane poczuł siłę pól *kral*, hamujących statek i usłyszał delikatny, mruczący syk energii, który zazwyczaj był ledwie zauważalny. Minęły już trzy pokolenia odkąd zaczęto używać pól, nie licząc wcześniejszych zwyczajowych testów.

— Blisssko — syczały wielkie reaktory integrujące. — Blissko.

Następnego dnia mieli dotrzeć do planety, którą wybrali, i być może długi Rejs ulegnie zakończeniu. Pięćdziesiąt pokoleń, jeśli legendy mówiły prawdę – jedenaście rozgałęzień – tysiąc pięćset tych tak tajemniczo arbitralnych odcinków czasu, zwanych latami… i w końcu znaleźli planetę, która być może jest im przeznaczona.

Lissa ciągle spała na koi, lekko pochrapując, piękna nawet we śnie, jej rude włosy rozsypały się bladych ramionach. Oczy Fane'a zawisły przez chwilę na krzywiznach jej ciała, podkreślanych przez cienką tkaninę prześcieradła, którym była przykryta. Być może, kiedy to wszystko się skończy, i wylądują, mógłby związać się z Lissą. Myślał o tym już wcześniej – chociaż z reguły tylko wtedy, kiedy dzielił swoją kabinę z jakąś inną dziewczyną.

Potrząsnął nią i obudził, uśmiechając się szeroko na widok gniewu, który zawsze wkradał się jej na twarz, kiedy ktoś wyrwał ją ze snu. Tym razem jednak, odgłosy napływającej energii szybko postawiły ją na nogi. Na wpół otworzyła oczy.

— Jaki mamy dzisiaj dzień?

— Środa — poinformował ją.

Lissa nienawidziła śród, kiedy siła ciężkości ustawiana była na o połowę wyższą niż normalnie, a ciśnienie i wilgotność powietrza również były podnoszone. Nie było sposobu, aby określić jak będzie wyglądała planeta na końcu-Rejsu, i dlatego każdy dzień był inny.

Dzisiaj jednak nie wygłosiła żadnej uwagi, tylko sięgnęła po *kofe* i wafle, które dla niej podgrzał, i pośpiesznie wskoczyła w swoją sukienkę i oficerski plastron. Nagle zachichotała i Fane zdał sobie sprawę, że od kilku minut stoi z jedną ręką włożoną w tunikę, a druga zwisa mu luźno u boku. Naciągnął na siebie ubranie, dokładnie w chwili kiedy zabuczał sygnał na panelu.

— Spotkanie u Kapitana, za piętnaście minut — zaanonsował głośnik. — Obowiązkowe, nie opcjonalne. Proszę potwierdzić.

Lissa nacisnęła swój przycisk i wyszli na duży korytarz, zmierzając w stronę najbliższego zespołu teleportów. *Kraling* miał ciągle urządzenia mono-przekaźnikowe – jedna z wielu niedogodności statku, który przeżył dwa rozgałęzienia i dawno temu już stał się przestarzały – i musieli czekać aż wcześniejsze skoki zostaną zakończone. Potem wszystko zamrugało i znaleźli się w obserwatorium Kapitana.

Gwiazda, do której się zbliżali, stała się już na tyle jasna, że musieli oglądać ją przez osłony, zaś ekran pokazywał cztery otaczające ją planety

– dwie ogromne i dwie o rozmiarach wskazujących na to, że mogą nadawać się do życia. Nawet w chwili kiedy przyglądali się ekranowi, pojawiła się na nim, daleko z boku, kolejna planeta, najmniejsza ze wszystkich. Obserwatorzy pracowali przez cały czas, ale lokalizacja planet zawsze była powolną czynnością.

Zbliżali się do drugiej znalezionej planety, licząc od gwiazdy, znajdowali się mniej więcej sto milionów mil od niej. Fane ustawił powiększenie ekranu na maksimum i lekko sapnął. W atmosferze widać było chmury, rozciągające się grubą powłoką nad większością planety. Pod spodem, można było rozpoznać oznaki czegoś, co wyglądało na kontynenty i morza. Fane nigdy wcześniej nie widział planety, ale czytał szczegółowe raporty na temat kilkuset z nich, koło których przelatywano podczas Rejsu w ich linii rozgałęzienia, i generalnie temat był mu znany. Na tej widać było niespotykanie rozliczne oznaki istnienia powietrza i wody. Sięgnął do klawisza i wyświetliły się szczegółowe informacje.

Szacunkowe ciśnienie, piętnaście funtów, na powierzchni; siła ciężkości w przybliżeniu normalna; stosunek azotu do tlenu cztery do jednego, śladowe ilości dwutlenku węgla; średnie temperatury w połowie odległości między równikiem i biegunami mniej więcej takie, by czuć się komfortowo; szacunkowy okres obiegu wokół gwiazdy, jeden rok; czas obrotu wokół własnej osi, około dwudziestu czterech godzin – generalnie, planeta niemal idealna. Widoczne było mocne nachylenie osi obrotu w stosunku do płaszczyzny obiegu wokół słońca – co mogło oznaczać znaczną zmienność klimatu, nie przekraczającą jednak granic tolerancji. Pewne obserwowane zjawiska, wskazywały, że na planecie istnieje już roślinność, bazująca na chlorofilu!

Lissa zadrżała z ekstazą.

— Nasza, Fane… cała jest nasza! Po tych wszystkich pokoleniach, zostaliśmy wybrani. Odkrycia, nowości, dreszcze podniecenia – cała planeta, aby spełnić nasze pragnienia – nieograniczona przestrzeń do rozwoju dla naszych dzieci!

— I fundament — dorzucił poważniejszym tonem. Pochwycił na plastikowej powierzchni ekranu przelotne odbicie rzeźbionych rysów swej ciemnej twarzy i szczupłej, wysokiej sylwetki, obok jej rozpromienionego i białego jak kość słoniowa oblicza. Przez chwilę czuł jak jej ekscytacja przetacza się przez niego, ale otrząsnął się z niej. — Miejsce, w którym będziemy mogli znowu budować – wznosić miasta i rozmnażać się, studiując i udoskonalając siebie samych. Nie będziemy już więcej maleńkimi stworzonkami z niewielkich metalowych środowisk, nienaturalnych dla wszechświata.

Zrobiła w jego stronę minę, ale ostrzegawczy dźwięk dzwonka przerwał ich rozmowę. Ruszył do teleportu, ale Lissa pociągnęła go do tyłu.

— Fane, zanim pójdziemy – czy jesteś z nami?

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

— Z tobą?

— Czy jesteś za tym, aby koniec-Rejsu nastąpił tutaj? Nawet jeśli twój ojciec będzie chciał lecieć dalej, razem z resztą tych starców, którzy myślą, że jeżeli oni urodzili się w kosmosie, to ich wnuki też tam muszą się urodzić? Fane, czy jesteś po naszej stronie?

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się z nią nie zgodzić, chociaż słyszał rozmowy między przyjaciółmi ojca, że rezygnacja ze statków na rzecz planety, była tak jak zamiana małego, wygodnego łóżka na wielkie łoże pełne sterczących igieł. Popatrzył na widoczny na ekranie glob.

— Jestem z wami!

Jego ojciec już siedział u szczytu stołu, przy którym zgromadzili się kapitanowie piętnastu statków, oraz ich zwolennicy i towarzysze. Fane zajął miejsce obok Lissy, świadom rzucanych mu zazdrosnych spojrzeń. Ojciec skinął mu głową i uniósł do góry ceremonialne zwoje.

— Przyjęte jest — rozpoczął komandor Bran, — że kiedy zbliżamy się do miejsca, w którym może nastąpić rozgałęzienie…

Lusato z *Volanyi* przerwał mu szybko:

— Rozgałęzienie? Czy mamy tutaj tylko wylądować, zbudować nowe statki dla posiadanej nadwyżki populacyjnej, a potem rozdzielić się na dwie grupy? Nie! Na Boga i Atom, zostajemy tutaj. Widziałem tę planetę na ekranach; to koniec-Rejsu!

Bran zwrócił się do niego, z lekkim uśmieszkiem na twarzy.

— Miałem właśnie powiedzieć, że w tym wypadku zwyczajowe odwoływanie się do naszej historii, wydaje się nieistotne, ponieważ wszyscy niecierpliwie oczekujemy chwili podjęcia decyzji. Jakieś sprzeciwy?

Wokół stołu powstało poruszenie, każdy po kolei krótkim skinieniem głowy wyrażał swoją zgodę. I tak większość ich historii miała charakter na wpół legendarny. Krótko istniejący, po drugim rozgałęzieniu, kult fanatyków, zabił kustoszy i zniszczył większość rejestrów historycznych. Wiedzieli, że wysłano ich z jakiejś planety, aby znaleźli i skolonizowali inny system gwiezdny, a następnie zameldowali o tym – wysłano na statku tak prymitywnym, że wydawało się niemożliwe, żeby był on w stanie w ogóle pokonać tę podróż – sama podróż miała trwać osiemdziesiąt lat, aby pokonać sześć lat świetlnych. Nie znaleźli żadnej gościnnej planety i lecieli dalej, dopóki w końcu, ciśnienie populacyjne i kończące się zasoby, nie zmusiły ich do wylądowania na pustynnym świecie. Tam, jakimś sposobem, zbudowali więcej statków i ekspedycja się rozdzieliła, obie połowy odleciały niezależnie od siebie, tak by przebadać większy fragment kosmosu. Od tego czasu miało miejsce jeszcze dziesięć takich rozgałęzień – i nastąpił niewyobrażalny postęp. Obecnie ich statki potrafiły lecieć szybciej niż trzy-czwarte prędkości światła, napędzane były przez silniki, które pobierały energię wprost z samej przestrzeni i oddziaływały bezpośrednio na tę przestrzeń poprzez pola *kral*, poruszając w ten sposób statek. Do budowy tego, co im było potrzebne, mogli wykorzystywać dowolny rodzaj materii – nawet ciężki materiał z ciemnych gwiazd.

Bran ponownie się uśmiechnął.

— Bardzo dobrze. Mamy więc do wyboru dwie możliwości. Leżąca pod nami planeta, może stać się końcem-Rejsu. Albo każda z tych planet może posłużyć do kolejnych rozgałęzień – ponieważ większość naszej młodzieży czuje się skrępowana przez, niezbędne w naszej ograniczonej przestrzeni, restrykcje odnośnie posiadania dzieci. Wydaje mi się jednak, że powinienem wskazać tu na jedną kwestię. Osiągnęliśmy już wszystko, czego można by było dokonać, gdybyśmy już dawno temu znaleźli odpowiednią planetę – a nawet więcej. Jesteśmy reprezentantami niewyobrażalnego nurtu rozwoju, olbrzymiej masy anonimowych ludzi, niezliczonej rzeszy cywilizacji, nawet jeśli przyjmiemy, że tylko połowa rozgałęziających się grup zdołała przetrwać. Nie jesteśmy zależni od kaprysów żadnej planety, tylko sami sobie tworzymy własne warunki. A planeta, którą mamy poinformować o naszych działaniach, została utracona, bezpowrotnie. Dlaczego mielibyśmy zachować się jak dorośli ludzie, szukający łona, w którym można by się ukryć?

Lissa popatrzyła na Fane'a i poczuł, że sam mimowolnie podnosi się na nogi. Bran skinął w jego stronę, oddając mu głos.

— Chcemy końca-Rejsu — oświadczył powoli, próbując zebrać razem powody dla tej decyzji. — Dobrze się tu spisaliśmy – nikt tego nie kwestionuje. Ale ludzie są związani z planetami, ojcze – tylko na nich miliard ludzi może wspólnie pracować, i tylko na nich można osiągnąć prawdziwy rozwój. Powiedziałeś nam, że zaszliśmy bardzo daleko – ale jak daleko w tym czasie musiała zajść planeta, z której pochodzimy? Przypuśćmy, że kiedyś przybędą naszym śladem – i znajdą nas, niewielką bandę prymitywów, żyjących, według nich, w jakichś kupach złomu. Czy w takim przypadku kosmos przyniesie nam szczęście? Do tej pory oni mogą mieć prawdziwe planety, na których żyją, podróżując przez przestrzeń kosmiczną. Mogą latać szybciej niż światło – wiemy przecież, że to możliwe! Mogą…

— Pragniesz nowych przygód, odmiennych niż stare? — spytał go ojciec.

— Tak, to prawda — odparł Fane, — pragniemy nowych przygód. Czy to źle?

Lissa poderwała się mu do boku.

— Głosujmy!

Młodzi podchwycili to. Bran wzruszył ramionami i skinął głową, licząc uniesione ręce. Wynik był dziewięć do sześciu, za końcem-Rejsu. Bran zapisał go w zwojach i wstał.

— To wszystko, panowie kapitanowie – poza tym, że ciągle jeszcze możecie zmienić zdanie. Popatrzcie tylko na statki, na które wracacie i wyobraźcie sobie życie na planecie. Zastanówcie się potem, czy nie jest ona czasami już zamieszkała, skoro jest tak dobrze przystosowana do wspierania życia. Bo przecież – taka właśnie jest!

Odwrócił się i wyszedł. Lissa chwyciła Fane'a za ramię i nachyliła się do jego ucha, aby coś mu szepnąć, ale z powrotem się wyprostowała, czekając z przygryzionymi wargami, aż wszyscy inni wyszli z sali.

— Nie martw się, Fane! Nie próbuję cię usidlić i wciągnąć w związek – nie po tym, jak wygłosiłeś to przemówienie. Chciałam ci tylko powiedzieć,

że to już się zaczyna! Pomyśl tylko, prymitywna rasa do pokonania. Będziemy żyli, Fane – naprawdę żyli! Będziemy bohaterami, walczącymi, zdobywającymi…

Coś uderzyło w statek, szarpiąc z taką siłą, jakby to sam kosmos pod nim się zarwał. Poczuli uderzenie powietrza, z rykiem przelatującego korytarzem, dopóki nie rozległ się trzask grodzi. Ze wszystkich stron dolatywało wycie syren i ostry krzyk z głośników:

— Kapitanowie na stanowiska! Statki zostały zaatakowane! Wszyscy oficerowie na stanowiska! Lokalizatory…

Fane gwałtownie ruszył za Lissą i uderzył pośpiesznie w przyciski teleportu, z którego wyskoczył w pomieszczeniu obserwacyjno-sterowniczym *Kralinga*. Po jednym spojrzeniu na przyrządy, ostro wyrzucił z siebie serię rozkazów, ale zauważył, że osłony już zostały ustawione. Generatory mocniej zamruczały, pod większym obciążeniem.

Wokół statków, kosmos zdawał się roić od niewielkich plamek. W porównaniu z nimi, Kraling i jego bliźniacze statki, wyglądały na wręcz monstrualne, ogromne torusy, z bryłami zamiast otworów w środku, zmierzające obok siebie, leniwym tempem, w stronę leżącej w dole planety. Małe plamki rzucały się to tu, to tam, pozostawiając za sobą ogniste ślady. Skręcały się i zwijały w niesamowitych zwrotach.

Fane zogniskował przyrządy na jednym z nich. Można było dostrzec, że to jednoosobowy stateczek, o otwartej konstrukcji kadłuba, z wyjątkiem wąskiej ramy. Spiczasty nos z sekcją zasilania i sterowania, stopniowo rozszerzał się w ramę, prowadzącą do ogona, z którego przy każdym zwrocie pojazdu wyrastał ognisty ślad – niewątpliwie mechanizm sterujący. Zaczął szukać w pamięci systemu napędowego, który został tu użyty i w końcu sobie przypomniał – dystorter, wywołujący lekkie odkształcenie przestrzeni. Mogło ono służyć jako osłona, równie mocna jak metalowe ściany, jednak było tak niestabilne, że można było je wykorzystywać tylko na niewielkich statkach. Nawet w takim przypadku nieustannie załamywało się ono i powtórnie odtwarzało, tworząc wokół statku i za nim ognisty ślad elektronowy – wytwarzany przez przestrzeń zapadającą się w polu dystortera.

Jeden ze stateczków nadleciał prosto na *Kralinga* i wielki statek zatoczył się, a w kosmosie za nim zamigotał gwałtowny kłąb płomieni, w miejscu w którym pole napastnika zetknęło się z polem statku.

W tym momencie Fane zaklął ze zdumienia. W stateczku siedziała kobieta – równie ludzka jak Lissa, chociaż jej twarz stężała w masce koncentracji i nienawiści, kiedy próbowała utrzymać swe pole w stanie stabilnym i zawrócić aby przeprowadzić kolejne uderzenie.

Wykonując jego rozkazy ubrani w skafandry kosmiczne ludzie biegli po obręczy *Kralinga*, kierując się do zewnętrznych dział. Zauważył, że ten sam manewr prowadzony jest na *Spendacie*, na którym stary i gruby kapitan Monoi przekazał prawdopodobnie prowadzenie spraw w ręce Lissy. Po chwili pozostałe statki poszły ich śladem.

Dwa z małych statków nagle wpadły w pole emitowane przez działa i implodowały. W miejscu, w którym się znajdowały, przestał istnieć cały metal i kobiety pilotujące stateczki nagle rozprysły się i umarły w otwartym kosmosie.

Fane poczuł mdłości. Słyszał legendy o bitwach toczonych z obcymi rasami, ale ci tutaj, byli ludźmi, albo niemalże tak wyglądali. A ich walka była beznadziejna. Byli nawet dosyć odważni – ciągle rzucali się z impetem do walki, chociaż teraz nie byli w stanie wyrządzić wielkim statkom żadnej szkody, a sami byli dla artylerzystów jak kaczki – czymkolwiek te kaczki mogły być. Głupcy! Jeżeli nie mieli niż lepszego niż dystortery przestrzeni, to sam *Kraling* był w stanie wypalić atmosferę ich planety, albo wysadzić jej jądro serią eksplozji atomowych, które rozerwałyby ją na strzępy.

Nagle odwołał swoje rozkazy dla kanonierów i pobiegł do włazu, naciągając na siebie skafander kosmiczny.

— Naszykować dla mnie gig, zamaskowany! — rozkazał przez mikrofon hełmu.

Niewielki gig, wykorzystywany do pozyskiwania okazów skalnych – albo, jeśli mieli szczęście na nie natrafić, do badania odkrytych planet – czekał na niego i kiedy znalazł się w jego ładowni, zaczął rozpływać się w nicości. Fane odrzucił pokrywę małego włazu do przedziału załogowego i wskoczył za stery. Pozostały już tylko dwa stateczki nieprzyjaciela i nie było czasu na jakieś specjalne rozmyślania. Poderwał gig z pełnym przyśpieszeniem, ostrym skrętem skierował go w stronę najbliższego statku nieprzyjaciela, otwierając wielki właz ładunkowy. Jeden ze stateczków właśnie wykonał nawrót i miał zamiar uderzyć ponownie na *Kralinga*, kiedy Fane zrównał się z nim i złapał go do ładowni gigu.

Właz ładunkowy zamknął się z hukiem i zaraz jak tylko powietrze z powrotem wypełniło ładownię, dostroił odpowiednio przyrządy, wytłumiając pole dystorsji przestrzeni. Dziewczyna pilot zerwała się z przerażonym krzykiem i natychmiast zemdlała, myśląc, że została wystawiona na działanie kosmicznej próżni.

Przeszedł do ładowni gigu, wyłączył kosztowne energetycznie maskowanie i znalazł ją leżącą na poduszkach fotela jej małej maszyny. Nic jej nie było. Z bliska wyglądała nawet jeszcze bardziej jak człowiek. Okropna maska na twarzy dziewczyny, zniknęła po kilku szybkich dotknięciach, odsłaniając całkiem normalną skórę. Pochylił się nad nią i zerwał z niej jej krótki strój, chwilę przedtem, zanim przyszła do siebie.

Brak ubrania, nie wywarł na dziewczynie specjalnego wrażenia, ale jego obecność była dla niej wstrząsem, niewiele słabszym niż oczekiwana przez nią śmierć. Szarpnęła się do tyłu, mamrocząc obce słowa, lamentując jednym tonem. Tak samo jak w jej ciele, również w głosie i w reakcjach nie było nic nieludzkiego.

Wtem nagle rzuciła się na niego, szarpiąc i drapiąc paznokciami. Uderzył ją szybko w szczękę i zaniósł do sterówki, gdzie skierował gig w stronę *Kralinga*.

— Wyłączyć pola napędowe warp i uruchomić jedno pole maskujące *kral* — rozkazał ludziom po dotarciu na miejsce. — I zabrać to do mojej kabiny.

Wpadł pełnym biegiem do sterówki *Kralinga* i przełączył się na linię dowódcy.

— Tato, w moim jeńcu nie ma nic nie-ludzkiego!

Głos Brana był ponury i zmęczony.

— Wiem – śledziłem co robisz. Ta planeta musiała zostać znaleziona przez inne odgałęzienie i zasiedlona. Nie mamy prawa na nich najeżdżać – będziemy musieli lecieć dalej.

Jak zauważył Fane, w jego ostatnich słowach zabrzmiała satysfakcja. Zaczął protestować, kiedy w ich rozmowę włączył się inny głos, należący do Lissy.

— Kapitan Lissa – Monoi miał atak serca. Komandorze Bran, mieliśmy przecież głosowanie! Jego wyniki wciąż obowiązują! Jeżeli oni cofnęli się tak daleko w rozwoju, albo nigdy nie wyszli poza technologię dystortera przestrzennego, nie możemy traktować ich jako niezależnej planety. Protestujemy.

Kiedy jakaś decyzja została przegłosowana, jej zmiana wymagała jednomyślnej zgody. Westchnienie Brana wskazywało na rozwiewanie się jego nadziei.

— A więc, dobrze. Co dalej, Fane?

— Mam zamiar śledzić ten drugi statek – odwołaj wszystkie ataki na niego. Wezmę zamaskowany skafander i jakoś przekopię się przez ich zapisy historyczne – na tyle przynajmniej, aby dowiedzieć się, czy to jest kolonia i generalnie, jacy oni są. Mogą mieć jeszcze jakąś inną broń – czasami cywilizacja jest w stanie stworzyć jakieś konkretne urządzenie, niezgodne z jej ogólnym wzorcem rozwoju – i może to być coś zupełnie przekraczającego nasze środki obronne. Zgoda?

— Zgoda.

Fane znowu wystartował pośpiesznie, podczas gdy w sercu wrzało mu podniecenie. Lissa może zachowała się zbyt władczo, ale miała rację. Nie lubił zabijać, a jednak coś w nim drgnęło. Mając przed sobą całą planetę, i życie, aby uczynić ją w pełni swoją, człowiek nabierał ochoty, by nigdy więcej nie znaleźć się na pokładzie statku.

Odnalazł wycofujący się ostatni stateczek i łatwo uczepił się go, lecąc za nim w stronę planety. Niżej patrolowali jeszcze inni. Ewidentnie nie mieli sposobu na przełamanie jego maskowania.

Kidy wrócił na *Kralinga*, wokół niego trwała właśnie jakaś kolejna bezsensowna bitwa, ale nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

Wylądował na pokładzie statku, rzucając ludziom węzełek ze zdobytymi rzeczami i zaczął składać raport, zanim jeszcze dotarł do sterówki, łącząc się za pośrednictwem komunikatora swego skafandra.

— Ojcze, oni tam mają dziesiątki języków – ale jeden z nich jest dokładnie taki sam, jak język z naszych starych zapisów! Dziwnie wymawiają słowa, lecz na jednej z wysp, zdaje się, że próbują go ożywić – nazywają go Angielski! Znalazłem trochę gazet w tym języku. Już je przesyłam.

Rozłączył się, zanim w jego uszy uderzyła podekscytowana paplanina z innych statków. Awantura na zewnątrz właśnie dogasała i małe stateczki obrońców uciekały przed potężniejszymi okrętami. Fane rzucił okiem na ekran przyrządów, skinął głową swojemu porucznikowi i poszedł do swej kabiny.

To wydawało się niewiarygodne; żadna cywilizacja nie mogła upaść tak nisko. Nie znalazł żadnych informacji, która z Gałęzi mogła zasiedlić tę planetę, ani kiedy mogło to się wydarzyć. Ale rozmiary populacji wskazywały, że musiało się to stać wiele pokoleń temu.

Nawet dla jego niewprawnego oka, istnieli tu ludzie, będący własnością innych – mieli swoich właścicieli, pewnie była to jakaś niewielka grupa, żyjąca w, jak im się wydawało, luksusie. Gazety potwierdzały to, donosząc o „buncie niewolników", w powiązaniu bezpośrednio z „najazdem z kosmosu". Pewne wskazówki mówiły, że niektóre części planety miały niewolnictwo, a inne nie, ale niczego nie można było być tu pewnym. Większość z tego szumu, jaki znalazł w zapisach historycznych i bieżących gazetach, nic dla niego nie oznaczała – poza tym, że nauka niewiele przekraczała tam poziom czarów, zaś o godności człowieka szeroko dyskutowano, ale bez większego zrozumienia tego pojęcia.

Żadna Gałąź, która tak dalece cofnęła się w swym rozwoju cywilizacyjnym, nie miała prawa do posiadania planety!

— Jeniec jest właśnie myty i dezynfekowany przeciwko wszelkim możliwym chorobom — poinformowano go, ale on słuchał tego tylko jednym uchem. Wymamrotał rozkaz, aby ją przysłano, po zakończeniu tych czynności i wszedł do swej kabiny.

W miarę jak studiował zatrzymane dla siebie kopie zapisów i gazet, wszystko to stawało się jeszcze bardziej niewiarygodne. Słowa, których znaczenia nie rozumiał, zaczynały go nabierać – i to bardzo brzydkiego znaczenia. Pieniądze stały się symbolem dla posiadania przez jednego człowieka więcej niż drugi, nie patrząc na słuszność i wkład dla ludzkości. Naród był słowem oznaczającym podziały i nienawiść. Walczyli szaleńczo przeciwko tej „inwazji" – i nic dziwnego! Od trzydziestu lat walczyli między sobą, jedynie z zakazem użycia broni atomowej i nukleoniki, niszczyły one bowiem bogactwo i bogatych.

Jeden z narodów, jak zauważył, próbował zakazać praktyki niewolnictwa – oraz zacząć eksploatować planety, które ponownie odkryli. Na razie wyglądało to rozsądnie – i pewnie takie było, dla nich. Był to

jednak rozsądek, który obejmował również histerię tłumu, prześladowanie mniejszości – wyraźnie słabszych liczebnie grup, które się z czymś nie zgadzały lub były jakoś odmienne – i niewiarygodnie nieefektywne rządy. I oni mówili o „Ciemnym Wieku", parę stuleci wcześniej!

Z niesmakiem rzucił to wszystko na bok i wyszedł, aby zajrzeć do sterówki. Kiedy wrócił do swojej kabiny, była w niej Lissa z jeńcem; Lissa eksperymentowała z niewielkim nerwo-stymulatorem, który wprawiał dziewczynę w drgawki, rzucając nią i wywołując u niej okrzyki bólu.

Wyszarpnął urządzenie z rąk Lissy.

— Suka!

Uśmiechnęła się spokojnie.

— Już dobrze, dobrze, Fane. Nie mam zamiaru uszkodzić twojej małej zabaweczki. Pozwolę ci nawet mieć ich więcej, kiedy już je zdobędziemy. Ale nie zapominaj – ja także mam swoje prawa.

Powoli obrzucił ją spojrzeniem i po raz pierwszy zobaczył ją naprawdę. Pasowałaby, tam na dole; pasowałaby doskonale. Tutaj, jej przyszłość była dosyć oczywista – będzie podejmować próby, aby zostać Komandorem, przy wykorzystaniu każdej znanej sobie sztuczki – aż w końcu niechętnie, bez pośpiechu wkraczający Psychometrycy zadecydują, że musi przejść operację poskromienia umysłu i zostać skierowana do jakiejś pozbawionej znaczenia pracy; będą zwlekać z tym do ostatniej chwili, ale dobro Gałęzi było najważniejsze.

Uniósł ją, łapiąc za rękę i nogę, i wyrzucił ją za drzwi, na korytarz, skąd odeszła, chichocząc z tego, co według niej kryło się za tym czynem.

Wzięta do niewoli dziewczyna wpatrywała się w niego pełnym wątpliwości wzrokiem.

— Suka?! Ty mówisz po angielsku!

Jej akcent był barbarzyński, ale dało się ją zrozumieć.

— Oczywiście. Jesteś z tej wyspy…

— Tak, byłam tam niewolnicą. Ale właśnie miałam zostać uwolniona – pochodzę z Nioway, a my nie mamy niewolników. Potrafimy mówić po angielsku, a przynajmniej większość z nas – kiedyś to był również nasz język.

To była najbardziej postępowa z tamtejszych dzikich społeczności, zajmująca cały jeden kontynent. Skinął głową, a ona groźnie na niego popatrzyła.

— Anglia miała właśnie uwolnić wszystkich swoich niewolników – ale pojawiliście się wy i musiała użyć nas do prowadzenia wojny. Anglia i Nioway negocjowały traktat. A teraz…

Upadła na podłogę i zaczęła płakać. Pchnięty nagłym impulsem podniósł ją i postawił obok siebie, a potem próbował ją uspokoić. Jedna osoba nie miała znaczenia, przy miliardach, które będą musiały zostać wyeliminowane, kiedy przejmą planetę, a takie dzikusy ledwie zasługiwały na jakąkolwiek uwagę. A jednak ona wydawała się tak normalna, tak ludzka, jak on sam – nie było w niej nic barbarzyńskiego. Cywilizacja, z której pochodziła, była ohydna, ale wydaje się, że żyjący w niej osobnicy mogą być zupełnie normalnymi ludźmi w szalonym świecie. W tej chwili,

była wystraszona, chora i zmaltretowana, z ochotą szukała pocieszenia nawet u swego pogromcy.

W takich sprawach, pomyślał ponuro, prawdopodobnie miała spore doświadczenie.

Z zamyślenia wyrwał go głos ojca. Komandor przyszedł do niego osobiście. Sandra, wzięta do niewoli dziewczyna, pomknęła z powrotem w kąt pomieszczenia, jej twarz pokryła się z jakiegoś powodu czerwienią, ale Komandor ledwie ją zauważył.

— Oni nie są odgałęzieniem — ze zmęczeniem oznajmił Bran. — Ta planeta, to Ziemia, świat z którego my wszyscy pochodzimy. To nasza ojczysta planeta, która nas wysłała – zatoczyliśmy wielkie koło i powróciliśmy do domu. Już wcześniej mieliśmy mapy tego układu, a teraz ustaliliśmy położenie planet. To… to właśnie dzieje się z rasą na planetach. Co każde pięćset lat zmienia ona kierunek rozwoju – ludzie zdają sobie sprawę z tego, że tak jest z jakichś powodów związanych z plamami słonecznymi, ale mimo wszystko poddają się temu planetarnemu prawu. Kiedyś osiągnęli szczyt i wysłali nas w kosmos, jak jajo niosące ze sobą zarodek życia. Z tego co wiem, mogliby dokonać tego ponownie – ale…

Fane pokręcił głową, te informacje wręcz zaćmiewały mu umysł.

— A więc… wysłali nas w kosmos, ojcze, mając nadzieję, że powrócimy, oferując im nowe granice. Przeglądałem trochę ich zapisy historyczne, chociaż nie do końca je rozumiałem. A my nie powróciliśmy – nie ma żadnych nowych granic. To jedyna planeta nadająca się dla ludzi. — Pokręcił ponownie głową. — Oni dali nam życie – a teraz my przynosimy im śmierć.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

— Próbowałem zmienić podjętą decyzję, ale Lissa odmawia. Inni – poza tobą – zgodzili się, i być może nawet zdołałbym przekonać i ciebie. Ale to nieważne; psychodynamicy wypracowali na podstawie rejestrów wystarczająco dużo wiedzy, aby przewidzieć skutki takiego kierunku postępowania. Jeżeli teraz się wycofamy, oni będą sobie zdawać sprawę z tego, że moglibyśmy ich podbić przy pomocy siły, o jakiej nie mogą nawet marzyć. I poddadzą się, niezadowoleni ze swego niewielkiego postępu, powracając na drogę do zupełnego barbarzyństwa, albo nawet do śmierci. Kiedy tylko któraś z ich małych zacofanych społeczności z Ciemnych Wieków, była odkrywana przez bardziej zaawansowaną, jej cywilizacja ginęła. Tym razem, to oni wszyscy są dzikusami w porównaniu z nami.

Odwrócił się do tyłu, aby wyjść. Zatrzymał się jednak.

— Pomimo obowiązującego Przymierza, Fane, trzynastu z nas zdecydowało się odlecieć – wystarczająco napatrzyliśmy się już na życie na planecie. Wiemy, że ludzkość tu się zrodziła, ale wzniosła się ona ponad to, kiedy już osiągnęła kosmos. Ci, którzy pozostali z tyłu, albo spadli z powrotem na stary poziom, są straceni. Przyszłością ludzkości jest wszechświat, a nie jakieś mityczne końce-Rejsu. Możesz lecieć z nami – albo zostać tutaj z Lissą.

Fane uciekał oczyma, próbując uniknąć wzroku ojca.
— Zostaję!
Siedział markotny, myśląc o tym co się stało, a tym razem to Sandra próbowała go pocieszyć. On jednak tego nie chciał. Nawet jeden statek był w stanie zniszczyć planetę i wydawało się, że nic więcej już nie trzeba do unicestwienia tego ojczystego świata, który zrodził potomstwo i nie potrafił pójść za nim.

Właśnie rozpoczął się kolejny nagły, zaciekły atak, i tym razem statki były większe – dwuosobowe pojazdy, w których jeden z ludzi walczył o utrzymanie kontroli nad niestabilnym polem, podczas gdy drugi na próżno wykorzystywał całą moc pojazdu, aby raz za razem uderzać na międzygwiezdne okręty. Fane zaklął pod nosem i poszedł do sterówki.
Niektóre ze statków z Ziemi spadały wskutek własnych awarii. Ale bez wątpienia, byli odważni.
Trzynaście z unoszących się w górze statków, zaczęło powoli się oddalać – utrzymywały postawione pola, aby uniknąć problemów z niestabilnymi napędami niewielkich okręcików z Ziemi, ich działa milczały. Bran wraz z innymi dwunastoma kapitanami, postępowali zgodnie z zapowiedzianą decyzją.
— Fane! — doleciał z komunikatora głos Lissy. — Fane, mój ukochany, wiedziałam, że ty zostaniesz. Dajmy im popalić!
Działa jej statku zalewały przeciwników ogniem, unicestwiając małe pojazdy, jak rozgrzana metalowa płyta niszczy krople wody.
Ziemskie stateczki nagle rzuciły się tłumnie na niego, tak jakby wyczuwając jego niezdecydowanie. Obserwował pokaz nieszkodliwego ostrzału, który odbijał się nieustannie od jego ekranów i niechętnie rozkazał kilku kanonierom, aby odpowiedzieli ogniem. Na ekranie obserwacyjnym, jeden z trzynastu odlatujących statków, oddalał się wyraźnie zwlekając.
„Miło sobie popatrzeć na takie interesujące zawody strzeleckie” — gorzko pomyślał Fane.
Obok niego podeszła Sandra i obserwowała ekran z pobladłą twarzą.

Powoli jego dłoń opadła na przyrządy sterownicze. Małe stateczki ponownie rzuciły się na nich, a z głośnika maszynowni dobiegł okrzyk:
— Kapitanie Fane, proszę wzmocnić osłony! Są zbyt słabe! Mamy tu parę dziur.
— Coś jest nie tak — odkrzyknął ochrypłym głosem. — Czy wykrywacie jakieś nowe promieniowanie?
— Nie!
— Ja również nie… ale tracimy moc osłon! Cała załoga – opuścić statek!
Czekał w napięciu, obserwując licznik na teleporcie, z kliknięciem odliczający każde użycie urządzenia przez wykonujących jego rozkaz ludzi.

Tysiące alarmów ćwiczebnych spowodowało, że robili to całkowicie automatycznie. A obok niego, inny licznik wskazywał stale malejący poziom mocy otaczającego ich pola, chociaż generatory ciągle wyły na najwyższych obrotach.

Gdzieś pod nimi, energia wpływała do ogromnych baterii akumulatorów, przelewając się przez panel sterowniczy, i rosła, coraz bardziej i bardziej, znacznie ponad poziom przeładowania. Fane uśmiechnął się z napięciem.

— Lissa! — zawołał. — Mam tu atak jakiegoś nowego rodzaju. Możesz mnie osłonić?

Skręciła statkiem w jego stronę, rozciągając swoją osłonę do maksimum i przysuwając się bliżej do niego, aby zetknąć razem ich pola. Rój małych stateczków, zaatakował ich teraz wręcz szaleńczo.

— Fane… co się dzieje? Dlaczego…

Statki w tej chwili niemal się dotykały – a akumulatory były mocno powyżej poziomu przeładowania. Coś, jakby małe słońce, przeskoczyło nagle od Kralinga do jej statku i pole ochronne zniknęło.

Fane usłyszał jej instynktowny rozkaz ewakuacji statku, wiedząc, że był on wyposażony w równoległe teleporty, pozwalające na jego wykonanie w ciągu trzech sekund. Zareagowała, nie mając czasu na uświadomienie sobie tego, co się stało, ale teraz z głośnika popłynął stek obelg, kiedy szarpnęła swoim pozbawionym załogi statkiem na alarmowym ręcznym sterowaniu i próbowała odzyskać nad nim kontrolę.

Mogło się to nawet jej udać – gdyby zdołała ją utrzymać, wezwałaby ludzi z powrotem. Nie miał złudzeń, odnośnie tego, co by się z nim wówczas stało – rozładowanie przeciążonych akumulatorów wyssało z jego statku każdą odrobinę energii, a już wcześniej spadał na Ziemię, zaś atakujące stateczki w każdej sekundzie wyrywały z niego skrawki życia.

Coś przemknęło przez ekran obserwacyjny i trzeci statek chlasnął maksymalną mocą swoich dział energetycznych. Statek Lissy zdawał się rozpadać na kawałki pod ich działaniem.

Sekundę później usłyszał słowa Lissy, ale nie dobiegały one z głośnika. Stała za nim z tyłu, w kabinie teleportu, i powoli ruszyła naprzód, z wycelowanym w niego ręcznym blasterem w dłoni. Na jej twarzy widać było szaleństwo a z ust wydobywały się z trudem jakieś niespójne słowa. Ewidentnie nie wiedziała skąd pochodziły wystrzały dział i winiła go o to.

Sandra powaliła ją na podłogę, potężnym skokiem do kolan. Za nią nagle pojawiła wyprostowana, dumna postać Brana. Pochylił się nad Lissą, pochwycił ją w biodrach i wrzucił ją do teleportu, pośpiesznie wbijając odpowiedni kod.

— Zajmą się nią w Psycho — spokojnie powiedział. — Dobra robota, Sandro.

Sięgnął palcami do panelu teleportu i zablokował go, podczas gdy Fane powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że tym trzecim statkiem, który został,

był statek jego ojca. Uśmiechnął się powoli, skinął głową, zaś starszy mężczyzna odpowiedział na jego śmiech, jak echem.

— Pomimo wszystko, nie różnimy się tak bardzo od siebie, synu – obaj pomyśleliśmy o tej samej sztuczce. Ciągle masz swój gig, do pary z niewidzialnością? Dobrze. Rzućmy tym małym odważnym stateczkom na pożarcie twój statek, razem z moim i Lissy, aby rozdarły je na kawałki, zanim wejdą w atmosferę. Myślę, że do tej pory będą już święcie przekonani, że stoczyliśmy z nimi wielką bitwę, ale nie udało nam się sprostać ich potędze – i powrócą do domu w zwycięskim nastroju, przynajmniej do czasu zanim nie zaczną się zastanawiać, czy czasami nie byliśmy tylko przednią strażą. To powinno wyleczyć ich z tych małych wojenek i skierować na drogę prawdziwego rozwoju.

Fane poprowadził ich do gigu, a Sandra mówiła mu, gdzie znajduje się Nioway. Nagle wykonał ruch, jakby chciał zawrócić, ale Bran zatrzymał go i pokręcił głową.

— Zabrałem ze sobą wystarczająco dużo klejnotów i innych błyskotek. Będziemy na tyle bogaci, żeby robić co nam się żywnie podoba – jeżeli tylko ta twoja dziewczyna, będzie trzymać usta na kłódkę.

Fane uśmiechnął się i przetłumaczył jej. Sandra z przekonaniem skinęła głową i starszy mężczyzna ponownie się roześmiał.

Utracili swoją należną prawem domenę, utracili ją niemal dokładnie w chwili, gdy uświadomili sobie, że naprawdę należy ona do nich, że stali się ludźmi z gwiazd. Kiedy człowiek podbił już kosmos, planety przestały być mu potrzebne; należał do całego wszechświata, aby się w nim rozprzestrzeniać i podążać wieloma różnymi drogami rozwoju. No cóż… pozostali również sobie to uświadomią, wcześniej czy później; wielkie statki prawdopodobnie zatrzymają się przy zewnętrznych planetach tego układu, aby dokonać Rozgałęzienia, ale były one już na zawsze poza zasięgiem Fane'a. Skończył już z kosmosem.

— Spłacimy w końcu nasze długi — stwierdził. — Wróciliśmy do domu przypadkowo i nasz powrót niemal wszystko zniszczył.

Dom. Młody człowiek na starej planecie. Ale jego syn lub w ostateczności wnuk, wyruszy przed siebie, być może na innym statku, w poszukiwaniu nowych ziem, które nie istnieją. Ziemia wyda z siebie kolejne potomstwo, co najmniej. A tego co wiedzą on i inni powracający, nigdy nie będzie można wyjawić. Dzieci Ziemi muszą same odnaleźć swoją prawdę.

Przysunął Sandrę bliżej do siebie i skierował statek do Nioway.

KONIEC